

Mariusz Mysiakowski

Rola wspólnoty ludzkiej w polskiej oczywistości

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 23, 67-77

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MARIUSZ MYSIAKOWSKI

Rola wspólnoty ludzkiej w polskiej oczywistości

*Prawa są tam,
dokąd idą ci, którzy przeżyli, tak,
żeby nie musieli sami tworzyć więzi!*
William P. Young

Dziś nikt nie zastanawia się, dlaczego tak trudno jest znaleźć wspólny język z sąsiadami, czemu nie potrafimy porozumieć się między sobą w sprawach ważnych, po co w ogóle słuchać siebie nawzajem, czym są nasze wspólne interesy? Powoli, bowiem i na naszych oczach zanika ta umiejętność, ta wspólnota, w której moglibyśmy spotkać się ponad podziałami, ponad naszymi małymi, także rodzinnymi egoizmami. Nie przekonuje nas, że jest ona czystą bezinteresownością, która ciągle pozostaje nieskażona i wolna w swej międzypokoleniowej rozciągłości. Niewiele też wyjaśnia pojęcie, że przejawia się w patriotyzmie, który także z dnia na dzień traci na ciągłości, coraz częściej oferując frazesy, z którymi nasz wieszcz narodowy tak zgrabnie rozprawił się w „czczej gadaninie”. Czym zatem jest ta idea? Gdzie i z kim jej szukać? Spróbujmy może odwołać się o to doświadczeń, które podsuwa nam nasza historia, doświadczeń, które jak wierzę pomogą nam wyjść z impasu, względnie rozpoznać się w oparach wciąż postępującego absurdu.

Po klęsce powstania styczniowego, nasi dziadkowie, chcąc podnieść się z kolan, obmyśli inną niż zazwyczaj strategię walki o swój byt, o byt narodowy. Wyciągając wnioski z ostatniej walki, wnikliwiej też przypatrując się nie-naszym sukcesom, jak jeden mąż postanowili rzucić się w objęcia pracy u podstaw, pracy organicznej nad poprawą własnej kondycji społeczno-gospodarczej. W niej niejako pokładając nadzieje, w niej też szukając siły, a co za tym idzie i emancypacji, także tej politycznej. Paradoksalnie, koniunktura na tego typu postawy szła w parze z interesem naszych zaborców. Współzawodnictwo, bowiem i ich walka o nowe rynki zbytu, o kolejne imperialne podboje stanowiły również doskonałą pożywkę dla polskiej racji stanu. I tak, od Renu aż po Kamczatkę, od Bałtyku po Morze Śródziemne polski pozytywista, mógł cieszyć się tą przychylnością, tym chytrym zacieraniem rąk przez obcych widzących w naszej aktywności własną przyszłą wielkość. Sprzyjały temu także przemiany społeczno-

¹ William P. Young, *Chata, Nowa Proza*, Warszawa 2011, s. 111.

gospodarze. Uwłaszczenie chłopów i urynkowanie pracy rolnej radykalnie zmieniło stosunki na wsi. Nastąpił gwałtowny odpływ ludności wiejskiej do miast jak również do państw, które potrzebowały ludzi myślących o lepszym jutrze. W mieście ruchy te doskonale zagospodarował rozwijający się przemysł, który w swej rewolucji przeżywał właśnie drugą młodość. A, że nadmiar produkcji potrzebował zbytu, więc usługi i pośrednictwo święciły swoje należne triumfy. W tym wyścigu cywilizacyjnym człowiek powoli przestawał być podmiotem sprawczym, poddającym sobie naturę, za to coraz częściej stawał się przedmiotem uzasadniającego potrzebę sprzedaży. Również nowe odkrycia w nauce i technice, silny pęd ku nowoczesności, ku zawsze modnym nowinkom, wreszcie sama nacjonalizacja i socjalizacja przekonań, jako pochodnych gwałtownych przeobrażeń społecznych zaczęły kształtować idee najmłodszego pokolenia. O społecznych konsekwencjach odejścia od życia zgodnego z naturą, o deklasacji i samotności człowieka, skazanego na wygnanie i anonimowość w świecie maszyn i zysku rozpisywała się prasa brukowa, podając liczne przykłady, które budziły tylko współczucie. Wszyscy znamy postać Karola Borowieckiego z „Ziemi Obiecanej” Władysława Reymonta, który w pogoni za karierą i bogactwem, musiał w sobie zdusić człowieka, musiał niejako podeptać tradycje, ale i potem także własne szczęście. Jeszcze dosadniej opisywał to Antoni Sygietyński (†1923) kreśląc w książce „Wysadzony z siodła” postać powstańca Ernesta Załogowskiego, szlachcica, który:

(...) jakim był przed laty, takim powrócił do kraju, ponieważ naturalnie i sztucznie pielęgnował w sobie cnoty te cnoty, które po przodkach odziedziczył. Tak; lecz kraj był już innym. Przez ten czas wyzbywał się powoli pewnych nałogów tradycyjnych, które uważał za cnoty, i nieznacznie nabywał nowych, które pozwalały mu, jako tako istnieć w warunkach zupełnie odmiennych, drogą nieuchronnych konieczności wytworzonych. Przez ten czas zmieniły się stosunki. Powstało całkiem inne pokolenie, ani zewnątrz, ani wewnątrz do dawnego niepodobne, które przede wszystkim nie w szczegółach drobnych, nie w formach przejściowych, lecz w rzeczach zasadniczych polityki, życia społecznego i towarzyskiego, sztuki, nauki, stanęło na gruncie odmiennym [...]. Co z nimi miał wspólnego?...Nic albo prawie nic; pewne ogólne rysy temperamentu i charakteru. Poza tym wszystko, co stanowi dzisiejszego człowieka, było mu wstrętnym lub obcym².

Z tego dość smutnego obrazu wylania się zatem postać, o tyle tragiczna, ile zagubiona, której system wartości pękł niejako na dwoje w konfrontacji z nową, popowstaniową rzeczywistością, która co jasne przeszła również wszelkie jego oczekiwania, a w efekcie jakiegokolwiek zdolności pojmowania. Jakże zatem wielkim w tej perspektywie, wydaje się tu zbiorowy wysilek tych, co nie podali się losowi, którzy co więcej stawili czoła nowej rzeczywistości, niejako a może przede wszystkim chcąc upiec na ruszcie tego nowego własną, polską pieczeń z hartu ducha i wyteżonej pracy. A, wyglądało to

² Antoni Sygietyński, *Wysadzony z siodła*, Universitas, Kraków 2004, s. 59.

tak jakby wszyscy się umówili, że naraz zachorują na polskość, jakby porozumieli się między sobą nie dobierając do tego nie za dużo słów. Ci, co się nie dali, a więc polscy ziemianie, przedsiębiorcy i postępową inteligencja miejska, przesadnie garnąc się do nauki, liczyli, że wkrótce oswoją się z nowinkami, że swoją nową wiedzą i jeszcze większą zapobiegliwością znajdą odpowiedzi na kluczowe pytania, na takie pytania, które już u zarania są odpowiedziami na polską chęć przetrwania. I co najdziwniejsze z perspektywy czasu trzeba przyznać, że to im właśnie udało się osiągnąć cele z godną pozazdroszczenia skutecznością. W postawie organicznikowskiej mieliśmy również do czynienia z jeszcze jednym, raczej nieświadomym, a zatem i podskórnym nurtem ideowym. Niewątpliwie, nabywanie wiedzy, praca nad własną siłą ekonomiczną, społecznikowskie postawy, mające za cel radzenie sobie w życiu przy jednoczesnym kształtowaniu postaw obywatelskich z patriotycznym podtekstem w tle to tylko jedna strona medalu. Co zatem widniało na jego rewersie? Bliscy poznania prawdy byli ideolodzy marksistowscy, którzy w solidaryzmie społecznym dopatrywali się interesowności warstw posiadających i postawy asekuracyjnej wobec emancypacyjnych potrzeb mas pracujących. Niestety, dialektyczne uwikłanie w materializm nie pozwoliło im na dotarcie do istoty problemu. Bowiem w postawie solidarnej, poza jej oficjalnym nurtem, przejawiała się również tęsknota za trwałością, za rutyną, za życiem z bliźnimi w harmonii i ładzie, za przemijaniem niewykłanym w koniunkturalizm i zdawkowość. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że ta życiowa aktywność naszych przodków skrywała marzenie, które niejako zaklinając nowe cele jeszcze silniej chciała zjednoczyć ludzi w walce nad poprawą swego losu. A, zatem w potrzebie solidaryzmu społecznego przejawiała się przede wszystkim niegasnąca tęsknota za utraconym rajem.

Po sprzyjającej koniunkturze politycznej, jaka nastąpiła po I wojnie światowej, mówiło się, że Polska „wybuchła”, ale czy na pewno wybuchła tylko samym entuzjazmem i z powodu słabości naszego wroga. Naszą drogę do niepodległości znaczyły równie silnie drobne kroki, kroki tych, którzy później ją budowali, którzy wyznaczali jej granice, którzy przekazywali swój trud w ręce kolejnego pokolenia. To oni, budowniczy i architekci, oficerowie i szeregowi żołnierze, parlamentarzyści i zwykli urzędnicy, lekarze i prawnicy, ziemianie i zwykli rolnicy, księża i przedsiębiorcy, ale także nauczyciele akademicy i ci, co szli w lud z kagankiem oświaty poświęcali swoje zdolności dla budowania nowej, własnej państwowości. Lecz i to poświęcenie nie do końca stanowiło o naszym sukcesie. Prawdziwą siłą okazała się ciągłość, ciągłość pokoleniowa, dziedziczenie nie koloru oczu, ale systemu wartości. Najmłodsze pokolenie, któremu przyszło żyć już w niepodległej ojczyźnie, zrozumiało ojcowski przekaz, ba uznało ten kod za własny i przystąpiło do kontynuacji dzieła pracy swych ojców. Udział w życiu społecznym, w pomaganiu sobie nawzajem, w lokowaniu własnego „ja” w sferze dobra drugiego człowieka pozostawało w nieustannie dobrym tonie, stawało się inaczej mówiąc czymś niemal modnym. Bowiem od najmłodszych lat życiem publicznym się żyło, a takie życie równie szybko udzielało się innym. W harcerstwie i korporacji studenckiej, w stowarzyszeniu naukowym i zawodowym, w towarzystwie

zarobkowym i popularyzacyjnym, w partii politycznej i organizacji samopomocowej, na poligonie pomocy doraźnej, na zjeździe religijnym i wycieczce krajoznawczej, na zbiórce, kweście i teatrzyku ludowym, na wsi i w mieście po prostu wszędzie widziało się chęć odczarowywania niedoskonałej rzeczywistości i kreowania własnej postawy ideowej. I tak w hierarchii wartości na pierwszym miejscu stawiano sobie miłość ojczyzny, potem obowiązki społeczne, wreszcie wymagania w stosunku do siebie większe aniżeli stawianie ich innym za cel. O osobistych konsekwencjach takiego imperatywu, przekonała się między innymi postać z pamiętnika Wandy Bojanowskiej-Oleńskiej (†2001) pt. „Historia naszej rodziny”, postać dziadka Henryka, ostatniego właściciela majątku Humięcino, w powiecie ciechanowskim, którego pełne napięcia, egoizmu i lekkomyślności życie, niejako z automatu skazywało go na przykrą banicję, na bolesną samotność i dziś chyba trudny do zrozumienia bezlitosny ostracyzm rodzinny. Jak przekazywała nam Wanda w naszej rodzinie o takiej osobie się... „*nie mówiło*”³. Paradoksalnie i dziś postać ta urasta do miana symbolu, symbolu buntu przeciwko presji, ale czy równie silnie pamięta się o tym, że roztrwonienie własnego majątku, „lekkie” życie, a co za tym idzie skrzywdzenie tych, co potrzebowali codziennej pomocy nie jest bynajmniej i teraz powodem do chluby? Żeby jednak lepiej zrozumieć tamte postawy należałoby może najpierw odnieść się do idei małych ojczyzn, do tych enklaw zhierarchizowanej symbiozy, które napędzały ówczesne życie społeczne, w których autorytet osiągało się najczęściej pracą rąk własnych. Nie było lepszego miejsca do realizacji postulatu rozumnej wspólnoty niż własne środowisko wiejskie. Bowiem na wsi pomimo upływu czasu nadal utrzymywał się patriarchalny układ stosunków międzyludzkich z ugruntowaną pozycją religii katolickiej. W tym środowisku każdy wiedział, co do niego należy, każdy też współpracował nad podniesieniem własnego dobrobytu, czerpiąc nadzieję z ziemi, za pan brat przestając z sąsiadem. W majątku ziemskim, gdzie mieszkał dziedzic nie można było obyć się bez pracy rąk ludzkich, za którą oczywiście płacono, nadto utrzymując pracowników sezonowych, ordynariuszy i komorników w silnym uzależnieniu od siebie, od swej pomocy i pomysłowości. Robotnicy rolni, wynagradzani nadziami rolnymi, inwentarzem żywym i dobrami konsumpcyjnymi, jakie rodziła ziemia, jeszcze bardziej lgnęli do dworu. Pozostali, a więc chłopcy i dzierżawcy gospodarząc na swoim dorabiali dniówkami u dziedzica, w kontakcie z nim, ucząc się nowoczesnych metod uprawy roli. Dziedzic, w dobrze pojętym interesie własnym, organizował im szkoły, półoficjalne nauczanie, ochronki i przytulki, organizacje pożytku publicznego, towarzystwa zawodowe, sklepy taniego zbytu, dawał pomoc lekarską, proponował wreszcie ubezpieczenia i dożywotnie emerytury. W zasadzie w zasięgu ręki znajdowało się wszystko to, co jak zawsze jest potrzebne do codziennego życia. I tak naprawdę wieś prawie nie potrzebowała miasta, za to miasto jakoś nie mogło się obyć bez produktów rolnych pierwszej potrzeby. Do wsi oczywiście docierała prasa niosąca wieści ze świata, a za nią szły maszyny i urządzenia rolne, czyli to, co mogłoby poprawić kondycję wspólnoty, w tym przedmioty zbytku jako dobra kultury. Nie

³ Wanda Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny*, Warszawa, 2009, s. 81 i 85.

mniej jednak wspólnota pozostawała ciągle spójna, niejako na boku, tego wszystkiego, co gdzie indziej działało się dużo szybciej, tutaj bowiem czas płynął powoli, przemijanie naturalnie przechodziło w pory roku, te zaś w zajęcia w polu czy obejściu, a relacje międzyludzkie budowała prosta wiara, ludowe obyczaje i zwykłe współczucie. W tym poczuciu pewności i stabilności, gdzie autorytet i kult pracy stawały się niejako jedyną odskocznią, jakkolwiek dystans wobec siebie i otaczającego świata stanowił wartość niskokaloryczną. Jak pisała Wanda w anegdotach o kolejnym stryjecznym dziadku Ignacym, właścicielu Gruduska pod Mławą:

przyjechał do Gruduska agitator związkowy, by buntować ludzi przeciw dziadkowi. Dziadek Ignacy, spotkawszy go na drodze zaprosił na śniadanie, do siebie, zmartwiony, że pewnie zmarł, następnie posadził go w salonie, żeby sobie gazetę poczytał, a potem powiedział: proszę bardzo, jak pan chce, to proszę iść do ludzi, robić swoje⁴.

No cóż, w świecie, za horyzontem, świecie pozbawionym tego ładu i składu, nie było już tak wesoło, gdyż coraz częściej do głosu dochodziły wypaczone idee i chore systemy polityczne, które za nic miały los pojedynczego człowieka. W równoważnej mozaice ludzkiej, w jakiej dożywało społeczeństwo europejskie okresu międzywojnia, mogli żyć obok siebie zarówno wyznawcy religii chrześcijańskiej jak i mojżeszowej, członkowie narodowości rodzimej, ale i obcej, wielcy i drobni przedsiębiorcy, potulni albo i zaradni robotnicy, bogaci ziemianie i ciągle kołacząca do bram biedota wiejska, także ludzie z wyższym wykształceniem i zwykli analfabeci jak również ludzie o przekonaniach lewicowych i ci, których trudno było posądzać o jakikolwiek radykalizm społeczny. W tej jawnej oczywistości, a jeszcze dosadniej w okresie słabości aparatu państwowego, pod wpływem skrajnej demagogii, nawarstwiania się sprzecznych interesów, tudzież znudzenia się demokratycznymi mechanizmami i liberalnym systemem gospodarczym, jak również wzrostem wiary, że nowe idee mogą poprawić naturę ludzką, popularność zyskiwały poglądy skrajne, w których więcej liczył się instynkt i wola wodza niż porozumiewanie się ponad podziałami. W systemach totalitarnych, które wkrótce doszły do władzy, nie było miejsca dla człowieka, nie on, bowiem był podmiotem przemysłów ani nawet przedmiotem sprawczym, za to punktem odniesienia stawały się idee nie mające kontaktu z rzeczywistością. W przyrodzie, jakiej człowiek jest częścią, istnieje jednak koegzystencja równych, gdzie silniejszy zyskuje, ale nie kosztem słabego, gdzie w doskonałej harmonii jest miejsce także dla skrajności, nie ma, więc ani uciskanych ani uciskających, a tym bardziej lepszych rasowo i tych, którym pisana zagłada – podludzi. A, zatem istotą totalitaryzmu stała się obca naturze ludzkiej przemoc i co za tym idzie żądza władzy. W szale, który ogarnął człowieka, który sam siebie określił masą, wybiła godzina prawdy, godzina, która cieniem położyła się na mądrości i równowadze wspólnoty.

⁴ Tamże, s. 71.

W pamiętniku Zofii Zapalanki „O miłości, o wojnie, o ziemi ciechanowskiej” w przededniu przełamania pierwszo-wojennego frontu rosyjskiego pod Glinojkiem autorka tak relacjonuje panujące wówczas wojenne stosunki:

W ostupienie wprowadziła nas propozycja pana Tiuryna [oficera rosyjskiego – przyp. aut.]. Otóż urządzają oni bal w Dziektarzewie [7-10 km od linii frontu – przyp. aut.] na naszą intencję. Nasze zdziwienie [było ogromne], gdy powiadają, że przyjechali zaprosić nas na bal tańczący, który odbędzie się jutro⁵.

W przeciwieństwie do tej wojny światowej, ta, która nadeszła, nie kierowała się już szlachetnymi intencjami, w której zwyciężał ten, co okazywał się silniejszym na bagnety, który w okopie oczekiwał sygnału do ataku, dla którego przeciwnikiem po drugiej stronie był żołnierz w mundurze, a nie bogu ducha winny cywil na stronie. Nie tylko w dziedzinie technicznej i taktycznej ta wojna była inna. Przede wszystkim jawiła się, jako konflikt ideowy, skierowany przeciwko człowiekowi, przeciwko pojmowanej przez niego potrzebie wspólnoty. I to zarówno w praktyce stosowanej przez „morderczy” hitleryzm jak i w tautologii postępowania „podłego” komunizmu. Podczas, gdy totalitaryzm niemiecki akcentował różnice rasowe i narodowościowe, to jego sowiecki odpowiednik zacierając te różnice wywyższał przynależność klasową, czym jeszcze silniej uderzał w odwieczne poczucie godności i bezpieczeństwa pojedynczego człowieka. Jednym słowem systemy totalitarne dążyły do alienacji emocjonalnej człowieka wykorzystując do tego demagogiczne hasła propagandowe. Przez co okrucieństwo wojenne stało się nieuniknioną koniecznością, nienawiść i odwet dniem powszednim, a małym ojczyznom z jej uświęconymi autorytetami wieszczyły nieuchronny koniec. Niestety, ludzie, zmęczeni długą wojną, po jej zakończeniu, nie byli już zdolni do rozstrzygnięć odbudowujących tradycyjne struktury, a wyczekiwanie i strach przed skutkami kolejnego jeszcze gorszego konfliktu stały się silniejsze niż zdrowy rozsądek. Toteż aliansi wcale nie odnieśli zwycięstwa, ale i pochód komunizmu na zachód nie przeraził tradycjonalistycznego Francuza. Za to na blisko półwiecze zawisła nad Europą ciężka kurtyna, co rozdzieliła świat na dwoje, zza której raz po raz wydobywały się jedynie groźne pomruki.

Po konferencji jałtańskiej, gdzie przyszli zwycięzcy ustalali powojenny porządek rzeczy, Polska znalazła się, chcąc nie chcąc w sowieckiej strefie wpływów. W tej orbicie, nie było miejsca ani na ciągłość ani na tradycje kultywowane przez wcześniejsze pokolenia. Nowi komunistyczni władcy, usadowieni z nadania Moskwy, próbowali legitymizować swoją władzę wyborami powszechnymi i namiastką demokratycznej prezydentury, choć równie szybko okazało się, co też kryje się za intencjami tej równowagi życia w naszym kraju. Zupełnie otwarcie przystąpiono do walki z „reakcyjnym podziemiem”, precyzyjnie również niszcząc dotychczasowe stosunki na wsi, gdzie dekret o reformie rolnej stanowił narzędzie tępej propagandy. Nie chodziło bowiem o sprawiedliwszy podział dóbr i tak przecież leżących odłogiem, ale o skłócenie dziedzica z chłopem, o pozbawienie go autorytetu

⁵ Zofia Zapalanka, *O miłości, o wojnie, o ziemi ciechanowskiej*, Ciechanów 2005, s. 133.

i wpływu na kreowanie wiejskiej rzeczywistości, o przecięcie ciągłości i przejęcie kontroli nad populacją wiejską. Co ciekawe, sama parcelacja i tak nie cieszyła się popularnością, a bazowanie na chciwości ludzkiej potęgowało tylko wrażenie legalistycznej kradzieży. No, cóż ofiarom zaoferowano zamiast odszkodowań szykany, opornym śmierć, względnie miejsce w kazamaty, a spineglwym upokarzające osiedlenie w sąsiednim powiecie. O zwycięstwie komunistycznego reżimu zdecydowała przemoc nad niepokornymi, którzy nie chcieli legitymować wyborczego kłamstwa, także bierność tych, których paraliżował strach przed świeżo upieczonymi „kacykami”, ale i dosłownie lęk przed bagnietami sowieckiego najeźdźcy. W ostatecznym rozrachunku wyrugowanie inteligencji ze środowiska wiejskiego przyniosło na wsi same straty. Bowiem ziemia dostała się w ręce państwowych gospodarstw rolnych, sojusz robotniczo-chłopski skończył się po rozprawie z reakcją, a z biegiem lat władze komunistyczne coraz mniej przychylnie spoglądały na jakąkolwiek indywidualną własność. Również próby sterowania aktywizacją wspólnot wiejskich w dostępie do kultury, w tym pęd do zakładania nowych szkół powszechnych, bibliotek i czyteln ludowych oraz ośrodków kultury nie przyjęły się w środowisku potrzebującym rozwoju ekonomicznego i opiałcalnego zbytu na własne produkty rolne. Sukcesy w elektryfikacji wsi zbiegły się w czasie z przymusowym kontyngentowaniem dostaw do wiecznie głodnych miast i walką z „amerykańską” stonką. I nadal chętnie rozprawiano się z upiorami przeszłości, którymi straszono przed snem wiejskie dzieci. Jak pisała Joanna Szypuła-Gliwa w książce „Dwór; pejzaż okaleczony” o pałacu rodziny Heydlów w Brzozie, w powiecie kozienickim:

... rzucono hasło: Tysiąc szkół na tysiąclecie. Jedna z tysiąclatek miała stanąć we wsi nad Radomką. Miejsca pod budowę nie brakowało. W 1966 roku przyjechała ekipa z saperami, którzy założyli ładunki wybuchowe w wypalonym, wyszabrowanym pałacu. Nowa szkoła wyrosła na jego fundamentach. Pozostawiono w spokoju park, choć zniszczono wszystkie posągi⁶.

Podobnie, choć nieco mniej widowiskowo, obeszl się komuniści z XVIII-wiecznym dworem i resztówką ziemską w miejscowości Uniszki Zawadzkie pod Mławą. Do propagandowej akcji szkolnej wykorzystano przestrzeń dworską, osadzając w pobliżu drewnianej konstrukcji, murowaną szkołę, wycinając ponad stuletni park na potrzeby boiska oraz niszcząc zabudowania gospodarze, których fundamenty stanowiły doskonałą oś dla pobudowania nowej drogi gminnej i ogrodu szkolnego. Ta pogarda dla dziedzictwa, ta systematyczna rozprawa z demoniczną przeszłością pozostawiła trwałe ślady w psychice wspólnot wiejskich. Naturalnym sojusznikiem w kultywowaniu więzi stawał się jedynie kościół katolicki z własną uświęconą przez wieki tradycją. W nim właśnie przejawiała się powszechna wspólnota, ta przestrzeń czytelnego przekazu i emocjonalna więź z tym, co bliskie każdemu człowiekowi. W sferze profanum idea ta mieściła się jeszcze w formule zabaw ludycznych, jarmarków i starodawnych obyczajów świątecznych. W mieście, również dawała się odczuć w zwyczaju spędzania wolne-

⁶ Joanna Szypuła-Gliwa, *Dwór; pejzaż okaleczony*, Łomianki 2007, s. 47.

go czasu na dansingach i przy kawiarnianych stolikach, także w prostocie, spontaniczności podtrzymywania stosunków międzyludzkich.

Koniec lat 60-tych zeszłego stulecia to także czas przewartościowań w krajach zachodnich, w demokracjach, które najsilniej zespalały człowieka ze wspólnotą. Coraz częściej przebijały się do świadomości ludzkiej opinii i postawy, w których przejawiało się znużenie tradycyjnym modelem współistnienia, a młode pokolenie wręcz lgnęło do skrajnie rozumianych idei liberalnych, w których wolność, swoboda obyczajowa i non-konformizm urastały do miana symbolu. Stopniowe odchodzenie od pierwotnej symbiozy, od układów emocjonalnych odniesień i praktycznych zależności, ukształtowało nowego człowieka, który w życiu zaczął się kierować odmiennymi od dotychczasowych, ale nadal dla niego istotnymi przesłankami sublimującymi jego zindywidualizowane potrzeby materialne i duchowe. Coraz częściej kierowano się w życiu zasadami, jakie je opisywał charakteryzując swego bohatera Colin Wilson w popularnej wówczas książce, wartościami, w których:

(...) Outsider nie ma pewności, kim jest. Doszedł do określenia jakiegoś „ja”, lecz nie jest to jego „ja” prawdziwe. Najważniejszą sprawą dla outsidera – to znalezienie powrotnej drogi do samego siebie.

Na krótką metę takie odreagowywanie można było uznać za stymulujące, ale tylko do czasu poczucia się choćby częścią jakiejś większej całości. Do pejzażu rozluźniania się stosunków międzyludzkich należałoby również dopisać zmiany mentalne, które wkrótce nastąpiły za niezbyt szczelną, acz nadal żelazną kurtyną, nad Wisłą. Sterowane przez reżim komunistyczny środki masowego przekazu serwując masom pracującym upadek „zgniłych” demokracji nie zdawały sobie sprawy, że propaganda ta przybierze skutek odwrotny od zamierzonego i stanie się mimowolnym hasłem do buntu. A więc, po wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu przyszedł czas na kontestację niechcianej już władzy. Najpierw własne środowiska intelektualne, potem i robotnicy oraz garstka dotychczas biernej opozycji poczuły się na tyle silne, że spróbowały zjednoczyć się w niemym proteście. I znowu na apel prostego, ludzkiego współczucia stanęła potrzeba jakiejś wspólnoty, jedności w akcji solidarnościowej, w której mottem stały się opór i współdziałanie. Po kolejnych strajkach w Ursusie i niedalekim Radomiu, po aresztowaniach i prześladowaniach młodych buntowników zawiązał się Komitet Obrony Robotników, potem też kolejne równie patriotyczne organizacje opozycyjne. Co ciekawe, wytworzyła się sytuacja, dziwnie przypominająca tą z nie tak dawnej przeszłości. Pod wpływem ucisku, krzywdy i poniżenia przedsięwzięto środki mające przywrócić sobie i społeczeństwu poczucie wartości oraz siłę do samostanowienia. Rozpoczęło się więc przyspieszone odrabianie lekcji z historii, wnet zacieśniły się kontakty z polskimi środowiskami emigracyjnymi, które mówiły i pisały „po polsku”, skąd przemycano również zakazaną literaturę, następnie powstawały kółka wymienia-

⁷ Collin Wilson, *Outsider*, Rebis, Poznań 1992, s. 19.

jące się wiedzą z odkłamywanej przeszłości, kółka dzielące się i spostrzeżeniami i wiadomościami, o których nie mówiła oficjalna propaganda. Po drugiej stronie barykady, eldorado, które zaproponowała społeczeństwu ekipa Gierka, wizja socjalizmu z ludzką twarzą opartego na kredytach w twardej walucie nie urzeczywistniła się w najmniejszym stopniu, a z propagandy sukcesu pozostał tylko czas na podwyżki i ekwiwalent na reglamentacje. To te właśnie niezadowolenie społeczne w połączeniu ze zdolnościami organizacyjnymi opozycji oraz chwiejnością słabnącej władzy doprowadziły w końcu do powstania „Solidarności”, która stała się azylem dla pierwszej od lat prawdziwej wspólnoty marzącej o lepszym jutrze. No cóż, tej wiary w poprawę swego bytu nie mogła już przerwać jakakolwiek przemoc, jakakolwiek też logiczna argumentacja. Masowość protestu spowodowała, że niewydolny system nakazowo-rozdzielczy nie wytrzymał próby czasu, a chyląc się ku zagładzie zatoczył jedynie koło historii. Niestety, po stanie wojennym, po pacyfikacji ludzi „Solidarności” protagoniści reżimu pozostawili po sobie pustkę, której nie mogli wypełnić ani pozostali w kraju nieliczni „renegaci” ani też ci, co zasilili szeregi kolejnej, polskiej emigracji politycznej. Przez następne lata, w atmosferze hiperinflacji i postępującej reglamentacji na wszystko, co tylko się dało, nie przeprowadzono skutecznej pracy uświadamiającej, pracy u podstaw, po której duchowo bogatsze jednostki mogłyby spotykać się znowu w tym samym miejscu, w tej samej jeszcze silniejszej wspólnotce. W zasadzie można powiedzieć, że ówczesne elity opozycyjne nie wykorzystały dziejowej szansy, tej wiary, jaką otrzymały z rąk mas pracujących. Choć trzeba im oddać sprawiedliwość, że trudne współistnienia z tymi, co sami siebie określali „patriotami” nie dawało nadziei na wyjście poza negację, poza co najwyżej naprawę, a nie zmianę systemu, która przecież nie uszlaby uwadze potężnego sąsiada.

W końcu lat 80-tych zeszłego stulecia zaczęło się chwiać potężne imperium sowieckie, a wraz z nim dogorywała władza tych, co sprawowali niepodzielne rządy w bloku komunistycznym. Otwarcie na zachód wymusiły twarde zasady rynkowe i upadek gospodarek socjalistycznych oraz całkowite zniechęcenie i apatia społeczna. Bowiernie ostatecznie zdewaluowały się idee wspólnej własności, gdzie wspólne znaczyło w sam raz tyle, co niczyje, a niczyje wprost proporcjonalnie tyle, co moje. Dążenie do komunizmu na świecie utraciło rację bytu, przemoc i żądza władzy za wszelką cenę jakąkolwiek legitymację, bieda i deklaszacja społeczna nie gwarantowała już sensu ideologicznego istnienia. W tej perspektywie polskie rozmowy przy „okrągłym stole” wydawały się naturalną koniecznością, a wspólne pochycenie się nad własną nędzą bez gwałtownych starć i przelewu krwi optymalnym rozwiązaniem. W pierwszych po ostatniej wojnie wolnych wyborach, ci sami ludzie, ludzie „Solidarności” otrzymali znowu mandat społeczny, kredyt zaufania na wyprowadzenie państwa z kryzysu. Niebawem, okazało się, że i z tego kapitału ludzkiego został tylko wyrwany z kontekstu i pusty rzeczownik. Bolesna transformacja ustrojowa, waśnie i kłótnie partyjne, w których ambicje personalne przesłaniały istotny interes społeczny, mędrkowanie i niekonsekwencje w działaniu kładły się cieniem nad swobodą gospodarczą, w której fiskalizm

tłumił inicjatywę nad wolnością wypowiedzi, za którą nie szła ani odpowiedzialność ani czyny, nad możliwościami, jakie dawało przekraczanie granic, gdzie czekała nas ponura rzeczywistość przy restauracyjnym zmywaku. Nie udało się też przywrócić ciągłości przerwanej przez nie-nasze decyzje. Nie nastąpiła bowiem reprivatyzacja znacjonalizowanego mienia ani restytucja władz emigracji polskiej z siłą gospodarczą, jaka była jej zapleczem, nie zainteresowano się repatriantami ze wschodu, co przywróciłoby nam godność ani „polską” prywatyzacją newralgicznych sektorów naszej gospodarki. Z drugiej strony sprawy społeczne, wymagające stanowczości i wyobraźni, jako zbyt trudne i niepopularne ciągle odkładano w czasie. Do dziś nie podjęto poważnych starań o reformę systemu podatkowego, zdrowotnego i emerytalnego, a z aktywizacji zawodowej i przekwalifikowywania się potrzebującym pozostawała chwilowa jałmużna, którą nawet teraz trudno uznać za dobrowolną. Coraz niższe nakłady na kulturę znajdowały uzasadnienie w związku frazeologicznym o prymacie ekonomii nad kulturą, w której kultura jest pochodną naszego wkładu w rozwój przedsiębiorczości, gdzie bogactwo materialne stymuluje dobra niematerialne. Ale, czy jest tak naprawdę? Czy przypadkiem nie artystyczna wyobraźnia kreuje aktywność w sfery produkcji masowej? Jakby na to nie patrzeć, tak czy inaczej, przeciętnemu Kowalskiemu żyło się coraz trudniej. Z systemu nakazowo-rozdzielczego musiał przesiąść się w rozpędzaną gospodarkę wolnorynkową, w której opieka państwa kurczyła się do minimum. Jeśli posiadał nadwyżki kapitałowe, inwestował wolne środki w sektor prywatny, który przynajmniej na początku oferował nieograniczone możliwości. Z dnia na dzień jego sąsiad, z którym zawsze dzielił się swymi troskami, z którym łączyły go wspólne przeżycia i przemyslenia, z przyjaciela stawał się klientem. Stopniowo gasły dotychczasowe związki, mini-wspólnoty, Kowalskich było coraz więcej, każdy chciał być najlepszym, każdy miał przeciw rodzinę. Chcąc nie chcąc, świat skurczył się do własnego „ja”, w którym tracono poczucie innej obecności, a wspólna przestrzeń przybierała ciągle na wadze.

W roku naszego przystąpienia do struktur Unii Europejskiej, nie dało się już odczuć takiego entuzjazmu, jaki nam towarzyszył przed transformacją ustrojową, a po obaleniu znenawidzonego reżimu. Niebawem też okazało się, że idea wspólnej Europy, choć wspaniała w swej prostocie, przegrywa z rzeczywistością, gdyż dla przeciętnego Kowalskiego jest ona zbyt daleka, zbyt abstrakcyjna, a oparta na strachu przed kolejnymi konfliktami zbrojnymi i na kulcie globalnej gospodarki nie daje odpowiedzi na podstawowe pytania. W preambule Traktatu Lizbońskiego nie udało się znaleźć kompromisowej formuły, pod którą podpisałby się każdy Europejczyk. Być może u podstaw tego nie-do-powiedzenia leżała sama niechęć do ideologii, które przysporzyły nam tylu nieszczęść, a być może wielokulturowość dzisiejszej Europy stała się czynnikiem, który utrudniał stanowcze opowiedzenie się po jednej stronie. Tak czy siak, nie mając odniesienia do wspólnej tożsamości jak i jakiegokolwiek systemu wartości długo jeszcze pozostaniemy Europą bez matki, nie daj Boże także ojcem bez najbliższej Ojczyzny. Za wolno również przebiega w Polsce transformacja gospodarcza, kuleją nakłady w zaniedbane sektory naszej gospodarki, za mało także środków unij-

nych rozchodzi się po drobnych kieszeniach. W świecie polityki nadal nasze „gadające głowy” nie wychodzą poza deklaracje, przekrzykując się nawzajem, sobie przydając ważności, sobie przypisując też rzekome sukcesy. W potoku słów wypowiedianych na minutę, w tym niedzielnym patriotyzmie nie rażą już figury retoryczne, bowiem ta woskowość mieści się jeszcze w polskim odpowiedniku hiszpańskiego słowa *piar*, co raczej boli bezradność tych, których wyznaczyliśmy na naszych rzeczników. W tej ciągłej ucieczce przed sobą, w tych wizjach idyllicznej przyszłości, gdzie dzieci nasze powołuje się na świadków, zapomina się, że na przypiecku nie *świerszcz*, a *pospolitość* skrzeczy. Całkowicie zgadzam się z opinią, że cuda nie stają się same, ale i z drugiej strony z gotowymi receptami słowom jest jakoś bardziej do twarzy. A, wtedy nie cierpi i autentyczność i dar przekonywania, zaś autorytet u drugich przychodzi *zniecka* i pozostaje na dłużej. Gdzie zatem dziś można znaleźć wspólną przestrzeń? Czy są jakieś szanse na ponowne zejście się przed tą naszą wieżą Babel? Czy na polską wspólnotę musimy czekać aż do następnego kataklizmu dziejowego? W dobie atomizacji postaw i strachu przed potencjalnymi zagrożeniami, jakie niesie druga obecność, może nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wziąć się za ręce choćby w naszym miejscu pracy i jak mantrę powtarzać za wokalistą Rogerem Hodgsonem: „Kryzys? Jaki kryzys?”⁸.

⁸ W zasadzie od nazwy płyty grupy „Supertramp”, którą w 1976 roku wokalista Roger Hodgson zatytułował: *Crisis? What crisis?*.